

Niech wia! Niech ma jego list w tej samej chwili, gdy na dziedzińcu każdy kule rozerwał jego pierś.

Przeklęta! Aaa! Dobry rum!...

Opary alkoholu ogarniały go coraz bardziej. Wreszcie odsunął manierkę, siadł na brzegu tapczana i zapatrzył się tępo w mroczny kąt, pełen pajęczyn, odpryśniętego tynku i gruzu.

Przez wysokie, otwarte okno zawiewała do stęchłej celi noc z nad Tygrysu, szum drzew, daleki wiew pustyni. Tysiąc zmieszanych odgłosów tajemniczej Mezopotamji wdierało się przez pręty krat, niosąc ze sobą jakiś przebijający, opilec, ciężki i niezdrowy pogwar chaldejskich magów i assyryjskich bogów.

Palmy bezwodnej pustyni szklwym rdzawych swych piasków zgrzytały chłopcu do ucha: 12 kul! 12 kul!...

Wierny, nieodstępny towarzysz wolnego syna pustyni nie wytrzymał tej gwałtownej jazdy. Rozgnęły mu kopyta w bagnach nad rzecznych, zapadł się brzuch i żebra wyszły na wierzch. Wreszcie, gdzieś, na rozdrożu padł zziębnięty wielbłąd dwugarbny i nie wstał więcej. Próżno go mały Cwał targał za kudły, błagał najczulszemi słowami, przezywał, bił — nie pomogło nic. Zdychnięte zwierzę parzyło jeszcze otwartymi szeroko oczyma na Małego, obdartego Araba, ale źrenice zachodziły mu coraz bardziej bielmem śmierci.

— Kismet! — westchnął Cwał, czule ucałował nozdrza ukochanego wierzchowca i podkasawszy poły burnusa iść począł przez mokradła, kierując się niezawodnym instynktem — na południe!

Po godzinnym marszu wyszedł na drogę pustą i odludną.

Stał suchą nogą na doskonałym angielskim gościncu...

W tem, z daleka zawarczał motor.

W szalonym pędzie zbliżał się samochód. Nikłowe okucia błyszczały w słońcu, jak srebrne.

Zdumiał się pierwotny człowieczek, przykucał i patrzył przerażony na zbliżającego się potwora.

— To djabeł gjaurów! — wrzasnął nagle, uciekać począł na oślep nieprzytomnie.

Cóż dziwnego, że się przeląkł mały Arabczyk z pustyni Nefud?

Nigdy jeszcze w życiu nie widział takiego potwora!

Wtem — usłyszał nad sobą gniewny głos kobiety:

— Z drogi mały!

A syrena automobilowa piskliwie jęknęła mu w uszach.

Obejrzał się, już było zapóźno! Przednie koła maszyny przeszły mu bezlitośnie przez brzuch.

Wóz drgnął, stanął.

Mylady wyskoczyła na drogę.

— Ki djabeł? Przejechałem dziecko? schyliła się. Chłopak skomlał żałośnie.

— Effendi w więzieniu! Ratować!

Ja mały Hadzi-el-Omar! List wieść! Co Baszy List!...

Rzęząc, wyciągnął jeszcze chudą rączkę ze świstkiem.

Kobieta wyrwała mu go z ręki.

Coś jak wrocie przecucie ścisnęło ją za gardło.

— Dawaj!

Przeczytała adres: Lady Berta Woorms.

— Do mnie... Jego pismo!...

Jednym spojrzeniem pochłonięła treść kartki. Boże! — jęknęło jej głucho w piersi...

Spojrzała na zegarek; Piąta. Za kwadrans będę z powrotem. Autem do Amary zadawako. Ale — samolotem...

I ukleknawszy przy chłopcu, wzięła go delikatnie na ręce i złożyła na tylnym siedzeniu.

— Biedny, nieszczęśliwy malcze!

Gwałtownie zawróciła autem prawie w miejscu i kłębami otoczona pomknęła z najwyższą szybkością z powrotem do Baszy.

Zajechała prosto przed hangary wojskowe. Wóz stanął. Oglądnęła się za siebie. Araba nie było.

Wstała i spojrzała raz jeszcze.

— Ach, tak, stoczył się z siedzenia na spód wozu.

Małe ciało, skręcone leżało twarzą ku deskom.

Dotknęła dłoni. Była zimna jak lód. Nie wytrzymał szalonej jazdy. Już nie żył.

— Ile pan czasu potrzebuje na lot do Amary?

— Najmniej godzinę, może trochę więcej — odpowiadał jej zgrabny Amerykanin, opierając się o aparat.

— Ja muszę tam być jaknajprędzej, niech pan o nic nie pyta! — przerwała mu porywczo piękna pani Berta, cała pokryta kurzem.

Lotnik popatrzył na słońce.

— Dziś już niemożliwe! — Nim maszynę przygotuję będzie ciemno! A po nocy, zrozumie pani sama Mylady, szaleństwem byłoby ruszać w drogę! Zbłądzimy z pewnością!

— Pan wie, że kocham szaleństwo! Przychodzę o ósmej — jeszcze dość jasno, jedziemy!

— Ależ Lady Berto! To niemożliwe!

— Tak musi być! Ja chcę! Drogi, najmilszy master Jim! Pan mi nie odmówi!

Anglik spojrział na nią, potem na słońce i kiwnął z flegmą głową.

— Well! Czekam, Mylady.

.. Ale..

— Tylko bez żadnego ale! Dziękuję panu...

Nachylona nad biurkiem pisała gorączkowo,

Jej delikatne policzki powlekał karmin ceglanych wypieków.

A w oczach niebieskich, tak zimnych zazwyczaj tak szyderczych, w oczach tej kobiety, co przechodziła dotąd z obojętnym uśmiechem nad niejednym ludzkim istnieniem, tej kobiety tak opanowanej i po męsku zawsze trzymającej się w karchach, lśniła niby brylant najczystszej wody, jedna, jedyna łza.

Gość rzadki! Ale to też w tej chwili drżała jej pierś uczuciem dziwnym, nieznanym jej dotąd prawie. Uczuciem tak ogromnym i tak silnym i czystym, że go ani objąć ani zrozumieć w pełni nie była jeszcze w stanie. I czuła się wobec niego mała i grzeszna i skazy pełna.

Toteż opuszczała głowę brzemieniem życia, pełnego występku, przyciśniętą coraz niżej, kreśląc szybko dużym ostrym piórem równe wyraźne litery:

„Pani!

Pisze do ciebie kobieta, co na drodze twego życia przed laty stanęła, zabierając ci to, coś miała najdroższego. Ukochanego mężczyznę.

Nie przeklinaj mnie w słusznym gniewie, póki nie przeczytasz do końca!

Masz syna. A syn ten tak podobny do ojca swego z rysów, z usposobienia, z dźwięku głosu.

Wówczas wzgardziłam miłością tamtego! Złamałam mu życie i opuściłam na łożu śmiertelnym. Wtedy bowiem nie wierzyłam w miłość. Wydarłam to uczucie z siebie, nucąc cyniczne piosenki. Sądziłam, że wszystkim w życiu jest pieniądze, stanowisko.

Niezdrowa ambicja awanturaczem wiodła mnie szlakiem. Zaplątana w siła nikczemnika, szłam na oślep od jednej zbrodni do drugiej, od tej miłości, do tamtej, jak mi kazało wyrachowanie i on,

mój kąt, współtowarzysz przestępstw.

Ale los jest okrutny, los jest mściwy.

Syn twój i człowieka, który mnie jedynie naprawdę kochał, stanął fatalnym przeznaczeniem zrzędzeniem na drodze mego życia.

Spojrzałam w jego oczy. Ojciec w nich odżył na nowo. I wtedy — wtedy poznałam, co to jest miłość.

Równocześnie — ja, wróg samego siebie, musiałam go wydać na zgubę.

Jestem obecnie szpiegiem wojennym niemieckim. I syna twego, Pani, niewiedzą ego o niczem wciągnęłam także w krąg mych zdradzieckich interesów, wyzyskując niegodnie, kielkujące w jego duszy uczucia ku mnie.

Moja wina, moja wielka wina! Ale może okupię ją mem własnym życiem! W chwili, gdy list ten z dalekich stron dojdzie do twych rąk, syn twój wolny i cały wracać będzie do ciebie! Odkryję mu całą prawdę, zohydzę sama siebie w jego oczach, by mną pogardził i zapomni!

Mam jeszcze jeden grzech względem niego i ciebie: z pełnem zaufaniem składał na moje ręce listy do ciebie, wierząc, iż je wysyłam do Polski. Jednak nie wolno mi było tego czynić. Dziś wszystko mi jedno, kończę rachunki z tym światem i całą pakę jego najdroższych gryzmołów przesyłam ci wraz z tym listem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Szybko i zgrabnie rozebrał ją do bielizny...